

Andrzej Lam

Nowy żar *Kuźni bluźnierstw*

Pierwszy aforyzm *Kuźni bluźnierstw* Karola Irzykowskiego (zamieszczanej w odcinkach w „Prawdzie” i „Widnokręgach” 1911 r., a potem przedrukowanej w książce *Czyn i słowo*) nosi tytuł *Noblesse oblige* i głosi oczywistą z pozoru tezę, że kto zapowiada bluźnierstwa, nie może być nigdy pewny wygranej. Dodajmy, że nie może być pewny, nawet gdy starannie obmyśla efekt, więc coś dopiero, kiedy działa w afekcie. Przypomina się anegdota (rzekomo prawdziwa) o Arturze Sandauerze, który zrugany przez współużytkownika drogi na skrzyżowaniu za fałszywy manewr, zareplikował: „Ja pana, ja pana, ja pana...”, i nie wiedząc, jakiej użyć inwektywy, palnął: „w d... pocałuję!”. Błaha ta sytuacja wpisuje się w szacowny ciąg tradycji, sięgającej co najmniej *Sztuki poetyckiej* Horacego z jej słynną maksymą: „Góry zlegną w połogu, zrodzi się śmieszna mysz”. Tak było, kiedy marny pisarz cykliczny, nawiązując do słynnej apostrofy: „Gniew Achillesa opiewaj, bogini”, zapowiadał szumnie: „Los Priama wyśpiewam i wojnę przesławna”, a opowiadanie prowadził nieudolnie, bez cienia wielkości. Przytoczona anegdota jest może niewybredna, ale język inwektyw, używanych przez współczesnych polityków, dostarcza niemało podobnych przykładów.

W późniejszej o dwa lata rozprawie *Zdobnictwo w poezji* (weszła potem w skład *Walki o treść*) Irzykowski odniósł swoje spostrzeżenie do teorii komizmu Teodora Lippsa: jeżeli nagromadzona zostanie energia i zrodzi się związane z nią oczekiwanie, a wynik okaże się blahy, wówczas napięcie wyzwole się jako efekt komiczny. Taki skutek jest dla delikwenta groźniejszy niż klęska poniesiona w grze losowej, jakakolwiek by ta gra była – hazardowa, wojenna czy wyborcza.

Irzykowskiego intryguje sytuacja, kiedy jakaś znużona stanem istniejącym społeczność oczekuje wyzwającego bluźnierstwa. Lektura kolejnych aforyzmów przekonuje, że można w to miejsce podstawić cokolwiek, co będąc „nowym na tle starego”, szokuje swoją nowością, a tym samym naraża zarówno na kontratak przeciwnika, jak i na ośmieszenie. Wymaga więc cnoty, która nosi nazwę *audacia civilis*. Irzykowski pisał swoją *Kuźnię bluźnierstw* w czasie wielkich przewartościowań – obyczajowych, estetycznych, religijnych, filozoficznych, politycznych – w silnym nadal polu grawitacyjnym Nietzschego, kilkanaście lat po rozprawie Wacława Nałkowskiego o skandalach jako czynniku ewolucji, po prowokacjach Wyspiańskiego w *Wyzwoleniu* i Brzozowskiego w *Legendzie Młodej Polski*, i w tym samym roku, w którym Adolf Nowaczyński ośmielił się napisać: „Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę”. Na tym rozedrganym tle tym mocniej zabrzmiało credo autora *Kuźni*: „Wiara prawdziwa wyrasta na gruzach niewiary, jest czymś, co tylko przez to żyje, że się wiecznie odnawia”.

Formuły Irzykowskiego nie zawsze są od razu jasne, jak gdyby pisarz się asekurował przed bezwzględną jednoznacznością w przekonaniu, że język zastawia pułapki i każda teza może spotkać się z zarzutem, że w pewnych okolicznościach przestaje być prawdziwa. Co na przykład znaczy w tym kontekście zdanie, że zapowiadający bluźnierstwo bohater „uczestniczy w tajnym współpracownictwie słuchających go dusz” i że „zawsze powie za mało i wywoła rozczarowanie: domagano się od niego więcej odwagi”? Wyjaśnieniu tego mechanizmu mogą posłużyć przykłady z kampanii wyborczej, kiedy doraźne i mało pogłębione przewartościowania sypią się jak z rękawa – żeby pognać konkurenta, który takich oczekiwań nie spełni. Regulatorem przeciwnym staje się lęk

przed ośmieszeniem bądź posądzeniem o nieuczciwość i cynizm. Sandauer tak skwitował inflację bluźnierstw po Październiku 1956: „odwaga staniała – rozum podrożał”. Granice „tajnego współprawnictwa dusz” nietrudno jest przekroczyć.

Wszystkie takie sytuacje dadzą się sprowadzić do jednej, w której słuchacz skłania się do zakwestionowania czegoś, co uchodzi za „niewzruszone”, „święte” – niekoniecznie w znaczeniu sakralnym. Bluźnierstwom jako zanegowaniu teraźniejszości towarzyszą śmiało rzucane obietnice. Kandydat do władzy zapowiada zburzenie skostniałego porządku, kryjącego się za szacownymi pojęciami demokracji i liberalizmu, zapowiada zniesienie ustawy o wyższym wieku emerytalnym – jest słuchany z entuzjazmem, ale na swój cichy użytek wie, że przymuszony ekonomiczną koniecznością jakoś się potem wywinie: można wprawdzie wiek obniżyć, ale za cenę niższej emerytury. Człowiek niby sam stanie się kowalem własnego losu, mając w rzeczywistości wybór między głodową, za to wczesną zapomogą a godziwym zaopatrzeniem w wieku, który niesie ze sobą różne ograniczenia. Pakt demagoga z publicznością oznacza działanie na wyobraźnię, wywoływanie pożądanej iluzji spełnienia, a za skrzeczącą potem rzeczywistość i tak odpowiedzą przecież inne czynniki, najlepiej jacyś wrogowie i mąciaciele.

Na wyższym piętrze pojawić się może u słuchacza rozpoznanie: ja wiem, że obietnice mówcy są nierealne, ale dzięki nim on skutecznie toruje sobie drogę do władzy, a jest dla mnie lepszy niż konkurenci z jakiegoś innego powodu, zbyt skomplikowanego (albo wręcz wstydliwego), aby się do niego przyznać publicznie. Akolity zadowala wtedy budzenie napięcia bluźnierczego jako wehikułu nienawiści (albo, od innej strony, nietzscheańskiej „woli mocy”), a świadomy siebie polityk wyznaje w ukryciu cyniczną formułę pewnego legata papieskiego: *mundus vult decipi, ergo decipiatur*. Ale bywają też bluźnierstwa „święte”, budzenie gniewu w walce o nową prawdę.

Na swoim kowadle położył Irzykowski słowo „czyn”, a w ślad za nim „bohaterstwo” (przerobione ironicznie na „bohaterszczyznę”) i „aureolę” jako sztuczne uwznioślenie. „Czas uderzyć w czynów stal” – młotem. Rozumiemy to dziś doskonale, w dobie

inflacji dętych pomników – a prawdziwe orgie jeszcze przed nami. Są młoty, młotki i młoteczki.

Odbywa się teraz kucie aureoli. Najlepsze młotki są czynne, a obok dogorywa święty. Od czasu do czasu jednak wstaje, przymierza aureolę do głowy, wykona sam kilka uderzeń młoteczkiem i kładzie się dogorywać dalej.

Czy trzeba lepszej formuły niż ta wizja? Można to sobie wyobrazić w krypcie wawelskiej katedry, nocą. Wyspiański kazał uczynić taki pośmiertny rachunek sumienia Kazimierzowi Wielkiemu, do którego współcześni zstępują, jak niegdyś Dante – i co król zobaczył?

Tak była mnoga tworów cieśń skłębiona,
ciał ludzkich, wężych, pniów, konarów drzewnych,
zaplatających w tysiączne ramiona
kamienne, ludzie te o twarzach rzewnych,
o twarzach w bólu strasznym, który kona
wciąż pod pokrywą ciężką rzek przelewnych –
ten raz jedyny dla mnie odsłonią.
I zrozumiałem, co chciałem uczynić
czerpając wody – ... zapomnieć: zawinić!

Król w scenie końcowej staje się kowalem z żelazną obręczą na głowie i ciężkim młotem w dłoni, a kiedy już nie może wytrzymać patriotycznego wielosłowa samozwańczych proroków wśród potępieńczych swarów, ciska tym młotem w mówcę. Ta natrętna wizja mogłaby się pojawić u każdego mieszkańca sarkofagu, który zachował w oczach skłębione i skrwawione ludzkie ciała i może jeszcze za życia zdążył zadać sobie pytanie, czy w obliczu niebezpieczeństwa nie wystarczyłoby jedno słowo, aby zapobiec makabrycznej katastrofie. „Aureola po śmierci ważniejsza jest od życia”, ale też: „Historia bohaterszczyzny nie wyda więcej, niż w nią włożono”. To są prawdy oczywiste i nie wymagają komentarza, zwróćmy się ku trudniejszym.

Wdzięczny uczeń psychoanalizy, Irzykowski, jeden z aforyzmów tytułuje: *Trzecie dno sumienia czynu*. Oto próżniak, winny

karygodnych zaniedbań, głosi potrzebę radykalnego i szybkiego cięcia, aby przesłonić, czyli, jak wtedy mówiono, „zeskamotować” swoją odpowiedzialność, unieważnić własną przeszłość. Nagły przypływ energii, zastępujący żmudną myślową pracę przygotowawczą, imponuje tym, którzy czekają na głos złotego rogu, może więc zapewnić krótkotrwałe powodzenie. Rychło jednak okazuje się, że był to zabieg czysto psychologiczny, na który rzeczywistość pozostaje obojętna. Kiedy ta podświadomość wypływa na wierzch i zabieg staje się chwytem, wówczas złodziej krzyczy, aby łapać złodzieja. Dawniej do intelektualistów należało demaskowanie takich zachowań, dziś, w dobie masowych środków przekazu, czynią to dziennikarze, w odróżnieniu od tamtych – bardziej stronniczo, tak że sami mogliby stać się przedmiotem drażnienia owego „trzeciego dna”. Nasuwa się myśl: „Najnieznośniejszym jest błagowanie o niebłagowaniu”. I jeszcze inna: „Wszędzie tam, gdzie jest moral, przypuszcza się bajkę”.

Aforyzm *Kompetencja* warto przytoczyć w całości, bez komentarza:

Jak śmiesz rozprawiać o czynie, ty, która nigdy nie uciekałaś przed żandarmami, nie byłaś okutą w kajdany, nie brodziłaś po kostki we krwi, co najwyżej szła ci tylko krew z nosa! – rzekła noga do głowy.

Komentarz niech zastąpi parabola: „My stoimy tam, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało zomo” – powiedział ktoś, kto nakładając sobie aureolę, dawał do zrozumienia, że też był okuty w kajdany. Czy i to da się zakwalifikować jako „trzenie dno sumienia czynu”? Można z tym aforyzmem połączyć *Fabrykantów historii*: ci tworzą ją „gwoli perspektyw, gwoli przewiewności”, nie licząc się z tym, czy „w historii polskiej z r. 2010 fakty te będą wydrukowane tłustym drukiem, czy petitem, lub w ogóle miejsca tam nie znajdą”. Stosownie do tego dystansu czasowego dziś zapytamy o historię pisaną roku 2115 – otchłań!

Zacytujmy jedną z najciekawszych, a przy tym najmniej oczywistych myśli Irzykowskiego:

Najobfitszy i najwidoczniejszy symbol zdobywa się na wrogu. Zabiwszy go lub zwyciężywszy, powiększamy swoje „ja” o wszystkie znane nam i nieznanne, a w wyobraźni wyolbrzymione wartości i potęgi jego „ja”, windykujemy je sobie i osiągamy stan bardzo perspektywiczny, jakby odrodzenia się.

Myśl jest nieoczywista, ponieważ powszechna jest opinia, że wroga powala się po to, aby go zniszczyć albo uczynić niewolnikiem, a jeśli zawłaszcza się jego dobra, to aby pozbawić je metryki i wykorzystać do własnych celów, realnych albo groteskowych. Kiedy bolszewik, naśladowując burżuja, wybierał się do opery w zrabowanym fraku, a bolszewiczka towarzyszyła mu w koronkowej nocnej koszuli, było to w swojej grozie śmieszne.

Czy zawsze chce się powiększyć własne „ja” o „ja” powalonego wroga? Jakoś to nie pasuje do sytuacji eksterminacyjnych, kiedy nie tylko unicestwia się wroga fizycznie, ale także zaciera się wszelkie ślady po nim. Tak postąpili Rzymianie z Kartaginą, taki był Holokaust. Rzadko jednak zdarzają się zbrodnie doskonałe i również takie unicestwienia znajdują sobie szczeliny, przez które pamięć się prześlizgnie. Już samo *delendam esse* ją zapowiada. Zgładzenie wroga i zagarnięcie jego dóbr – to przypadek zbyt oczywisty, aby go omawiać. Dopiero podziw dla przeciwnika, świadomy lub podświadomy, głoszony jawnie lub maskowany pogardą, lęk przed jego potęgą, zazdrość i zawiść, może przerodzić się w zamiar przyswojenia sobie tego, co ów podziw wzbudziło, nawet gdyby miało się to dziać po cichu, bo wstyd się przyznać. Wtedy na ogół zagrabiona wartość żyje, zyskuje tylko innego dysponenta.

Taki dylemat występuje w każdej rewolucji, która zarazem niszczy i przejmuje. Zna go każdy zwycięski wódz, który zagospodarowuje zdobyte terytorium. Czy jednak odnosi się też do walki wyborczej i jej rezultatu? Jeśli błędny rycerz dostrzeże groźnego olbrzyma w bukłaku z winem, szlachetny trunek rozleje się w brudną kałużę. Jeśli zwycięzca okaże się zachłannym prymitywem, przejęty dorobek zostanie roztrwoniony. Natomiast jeśli górę weźmie zrozumienie, czym jest zawłaszczone dobro, może powstać odmładzająca synteza. Wygrywali ci, którzy umieli wyko-

rzystać zdobycz, zapewniając jej nową funkcję i rozwój w służbie celów wyższych. Po roku 1989 zwycięskie siły bez skrępołów korzystały z dorobku poprzedników, od terytorium i instytucji państwa poczynając, na stanie kultury i na uniwersytetach kończąc, ale wzdragały się okazać choćby symboliczne uznanie dla tych, którzy ten dorobek wytworzyli. Nic dziwnego, że płacą dziś cenę wyobcowania. Irzykowski, którego modernizm europejski i Młoda Polska ukształtowały, w głosie *Praca organiczna* inaczej rzecz widział:

Jeżeli się dziś z zapalem dekretuje u nas bankructwo pozytywizmu, uświadamiania, budowania itp., to nasuwają się dwie wątpliwości. Pierwsza: czy to, co pozostało najlepszego i trwałego u nas, nie jest przecież bliższym lub dalszym wynikiem pozytywizmu? Po wtóre: czy ten pozytywizm, jaki był, nie był a priori zbyt polskim, to jest fałszywym (nie w intencji, lecz w przyjęciu przez ogół)? I teraz się przytacza jako dowód: mieliśmy przecież pozytywizm, i cóż z tego...

Polskie dylematy nie umierają.

Polska świadomość kształtuje się jako *Mysł po czynie*: „Najpierw robić powstanie, a potem je uzasadniać i poprawiać (na papierze)”. Nigdy nie graliśmy źle, tylko albośmy się mylili, albo mieliśmy pecha, albo inni nam przeszkadzali. Ale kiedy Irzykowski mówi, że uniewinnianie się wynika z braku siły zdolnej udźwignąć ciężar popełnionych błędów i odważnie przyjąć za nie odpowiedzialność, to ma niepełną rację, ponieważ właśnie on, który przecież jest częścią całego układu, ma odwagę to powiedzieć. Mówi, ergo dysponuje taką siłą, a poza tym nieraz powołuje się na pisarzy, którzy czynili narodowi gorzkie wyrzuty. Prawda jest taka, że choć raz po raz wstępują na trybunę bystrzy autoanalitycy, to społeczność nie wytrzymuje długo stanu krytycznego, rychło się z samooskarżeń otrząsa i wkrótce popełnia grzechy podobne. Gdyby było inaczej, minęlibyśmy za którymś razem obojętnie sądy w rodzaju tych o robieniu powstań: mamy to już za sobą. Tymczasem był Witkacy z tezą o zaniku uczuć metafizycznych i z *Niemymi duszami*, byli Gombrowicz i Miłosz, i Barbara Skarga, a trybuni

ludowi (i lud) – swoje, bo lektury albo za trudne, albo niesłuszne: nie trzeba się aż tak męczyć, żeby wiedzieć, gdzie jest prawda.

Wożenie się na wartościach przez innych ustanowionych, bez wkładu twórczości własnej (którą Irzykowski odróżnia od czynu), jest zawsze fałszem, choć wielu nie potrafi go w takim charakterze rozpoznać. Tak postępuje ten, kto „wie zawsze, w jakim kościele dzwonią, i wszędzie spieszy, by pomóc ciągnąć za sznury”. Kto podwiązuje się do papieża i Kościoła, do II Rzeczypospolitej, do Armii Krajowej, powstania warszawskiego, żołnierzy wyklętych, do Wawelu i historycznie ukształtowanej symboliki miejskich przestrzeni. Gdyby go zapytać, jakie czyny własne go do tego upoważniają, odpowiedziałby: przecież kiedy usłyszałem dzwony... Fałsz jest nie tylko w łatwym kreśleniu uwznioślającego wizerunku siebie samego, wkrada się również do preparowania obrazu wartości kulturowanej znaczkami w klapie: „Dociągnąć to, co było w intencji, zakryć skazy, odłupać brzydkie narośle, przepuścić drobne, lecz najcenniejsze drgnięcia przez najlepsze mikrofony”. To przynajmniej zakłada wiedzę, że jakieś skazy były, czyli świadomą manipulację, podczas gdy najczęściej w grę wchodzi zwykła ignorancja: na co komu mącąca w głowach wiedza, wystarczy ikona, sztandar i szturmówka. A swoją drogą, to przepuszczanie pożądanych drgnień przez najlepsze mikrofony w czasie, kiedy triumfem ludzkości stawała się pierwsza transmisja radiowa z Metropolitan Opera – jakżeż wyprzedza obyczaje ledwie świtającej wtedy doby środków masowego przekazu.

Nie ma jednak racji Irzykowski, kiedy zarzuca już nie tylko tym, którzy traktują literaturę jako skarbnicę oderwanych cytatów i bon motów, ale nawet samemu Wyspiańskiemu masową produkcję komunalów w rodzaju: „Miałeś, chamie, złoty róg, ostał ci się ino sznur”, „Chłop potęgą jest i basta”, a nawet „Polska to jest wielka rzecz”. Nie tylko dlatego, że w kontekście scenicznym brzmią one przejmująco, a nadanie nowego blasku banałowi, w którym coś niegdyś tkwiło, jest wielką sztuką. Dlaczegożby Horacjańskie „ówdzie mitrę chciwa Fortuna zdarła z szumem skrzydeł, tu dóbr przysporzyć była rada” miało być mniej banalne? Wobec całego losu polskiego, a nie tylko sporów na przełomie wieków, fraza Wyspiańskiego o złotym rogu i sznurze jest w swojej skrótowości

i obrazowości genialna. Słusznie więc przeszła do języka potocznego i żadne nadużycie nie zdołało jej zniszczyć.

Irzykowski wiedział zresztą, że nie tylko w tej kwestii przeholował. W *Pobożnym westchnieniu* wyznał:

Kto bluźni czynowi, naraża się na to, że na każde bluźnierstwo usłyszy we własnej duszy odpowiedź, jak ów obłąkany zegarmistrz, który zniszczywszy wszystkie zegary, aby żyć wiecznie, we własnej piersi potem słyszał bicie mijających godzin.

W dobie Legionów i wojny dręczyła go myśl, czy rozprawiając się z frazeologią „bohaterszczyzny”, nie zaniedbał myśli o tym, jak to się stało, że suma idei, woli i wysiłków ruchu aktywistyczno-niepodległościowego doprowadziła jednak do odrodzenia się państwa polskiego. Przeczuwał te rozterki w dantejskim obrazie *Zakończenia*:

Ponury ogień w mojej kuźni zgasł, w ciemności czuć okiem jakieś dziwaczne kształty, lecz nie można rozeznać, czy są to złośliwie powykęcane aureole, kotwice i gwiazdy, czy nowe wynalazki bluźniercy. Tymczasem kuźnia stoczyła się ponad samą krawędź drażniącej przepaści. Ale wszakże dla czynów trzeba tła tragicznego i nigdy nie może być ono za tragiczne; więc trzeba zdzierać jedną dekorację po drugiej i nigdy nie można zderzeć ich za dużo, aby odkryć prawdziwe dno rozpaczy.

Mylny byłby sąd, że przenikliwość i wielkość Irzykowskiego ogranicza się do celnych sztychów demaskatorskich. Zarówno *Kuźnia bluźnierstw*, jak i będące jej przedłużeniem w zmienionych warunkach *Walka o treść* i *Beniaminek* to coś więcej niż zabójcze pamflety. Wspólna była im świadomość, że kultura i sztuka wkroczyły w epokę kreacji, którą trzeba przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza, w dobrym i złym, jak bywa z większością dzieł ludzkich. *Pia fraus*. Sztuka tworzy autonomiczne, wirtualne światy, dające wyraz świadomości intencjonalnie wyprzedzającej, czyli współsterującej szybkozmiennym odbiorem świata. Prawdziwe tajemnice wydiera kosmosowi fizyka z elektroniką, biologia

z genetyką i astronomia z matematyką. A skoro świat nie musi (nie może) być już więcej ani zgodny z burżuazyjnym zdrowym rozsądkiem, ani taki, jakim go widzi zewnętrzne oko, ani nawet ludzka dusza, to może być dowolny. Rzeczywistość i tak wybierze sobie swój własny, do którego z rzadka tylko pasują ludzkie usurpacje. Ale może byłby inny, gdyby nie one. Tak realizuje się udział człowieka w boskim dziele tworzenia i równie profetyczna, jak ludyczna funkcja sztuki, od dawna przewidziana przez mądrych błaznów, których szereg otwiera Sokrates.

lipiec 2015

Andrzej Lam

The new fervour in *Kuźnia bluźnierstw*

The article discusses a collection of Karol Irzykowski's aphorisms entitled *Kuźnia bluźnierstw* (*The Forge of Blasphemy*, 1911, printed as a book in 1913), its role against the trends of the times, especially Nietzsche's philosophy and psychoanalysis, the importance of social rebellions, national uprisings and artistic revolutions ("blaspheming", "bravado", "pioneering", *audiacia civilis*). In the subsequent part of the article, the author discusses the topicality of a critic's theses in relation to the contemporary disputes over the content and the language of the argumentation. The author has placed pragmatism at the centre of the considerations, with special emphasis placed on intellectual and artistic deeds, antecedent awareness and its caricature i.e. usurpation. This is concisely put in the following aphorism: "Genuine faith feeds on lack of faith; it only lives because it is constantly restored".

Keywords: Karol Irzykowski; aphorism; literary criticism dispute.

Andrzej Lam – historyk literatury i krytyk, tłumacz poezji łacińskiej i niemieckiej, profesor nauk humanistycznych. Wykładał na Uniwersytecie Warszawskim (1951-2001) i Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztorą w Pułtusku (2004-2014). Członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Societas Jablonoviana w Lipsku. Wydał ostatnio zbiór esejów *Portrety i spotkania* (2014) i rozprawę *Anioł Ślązak Mickiewicza, wśród przekładów: Okręt błaznów* Sebastiana Branta (2010), *Poezje zebrane Hölderlina* (2014), *Hymny do nocy* Novalisa (2016).